№ 30. Warszawa, 25 Lipca 1908 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

Szan. Prenumeratorów prosimy o nadsyłanie przedpłaty na kwartał III i II półrocze.

TREŚĆ NUMERU.

WYBORY W FINLANDJI.

Na odbytych niedawno wyborach do sejmu finlandzkiego socjalni demokraci otrzymali 153,000 głosów. Kolejno największą ilość głosów uzyskali starofinowie, najmniej głosów padło na szwedomanów i młodofinnów.

Wynik wyborów ma duże znaczenie polityczne. Finlandja jest krajem z szybko rozwijającym się kapitalizmem; stosunki klas społecznych są w niej nadzwyczaj zaostrzone; znaczną część ludności stanowi olbrzymia armja proletarjatu, rozporządzająca silnemi organizacjami zawodowemi, w wielu miastach posiada w swych rękach zarząd sprawami miejskiemi. Jednocześnie sroży się w Finlandji brak pracy, to też walka pracy z kapitałem jest bardzo ostra nie tylko w przemyśle, ale i w rolnictwie. Z jednej strony widzimy tam wielkie dobra należące do nielicznych rodzin arystokratycznych, a z drugiej — znajdujemy liczną rzeszę parobków i dzierżawców drobnych znajdujących się w zależności od właścicieli ziemskich.

Młodofinnowie jest to partja liberalnej burżuazji ciesząca się popularnością wskutek swego (zresztą czysto platonicznego) dążenia do niepodległości.

Szwedomani jest to partja arystokracji rodowej nie mogąca zapomnieć o swym związku rodowym z sąsiednią Szwecją.

Starofinowie są partją drobnej burżuazji, do tego stopnia zachowawczej, że podejrzewano ją niejednokrotnie o sympatję dla rządów Bobikowa; charakterystyczną jej cechą jest dążenie do popularności w szerokich masach ludności za pomocą wystawiania reform społecznych, do przeprowadzenia których nie zdradza jednak najmniejszej ochoty. (Partja ta ma wiele wspólnego z naszą rodziną „narodową — demokracją" jest równie demagoiczna i równie obłudna pod względem „dążenia" do reform społecznych).

Były wiceprezydent senatu Mechelin tak się wyraża o wynikach wyborów:

„Stało się już jasnem — mówił Mechelin — że starofinnowie utracą kilka mandatów. Coprawda, wzrost tego stronnictwa byłby nawet niepożądany. Starofinowie popełnili kilka wielkich taktycznych błędów przy roztrząsaniu kwestji politycznych, mających związek z Rosją. Działacze starofińscy powinniby stopniowo posuwać się do tej opozycji, której się trzymają konstytucje stronnictwa w Finlandji.

W niektórych kwestjach stronnictwa burżuazyjne będą musiały połączyć się przeciwko socjalnym demokratom. Naturalnie, nie w celu przeszkodzenia jakimbądź reformom społecznym, ale przeciwnie, dla tem pewniejszego ich zdobycia. Socjalni demokraci w Finlandji, jak zresztą i w innych krajach, ujawniają w kwestjach społecznych taki radykalizm, że niektóre ich żądanie albo sprzeciwiają się podstawowym przepisom prawa, albo nie mogą być osiągnięte w praktyce. Byłoby jednak pożądane, aby w granicach możliwości słuszne żądania proletarjatu były uwzględnione.

Socjalni demokraci w nowym sejmie będą nieco liczniejsi jeszcze, niż w ostatnim. Wystąpienia ich były główną, jeśli nie jedną przyczyną rozwiązania sejmu. Trudno odgadnąć, czy partja ta wykaże teraz więcej politycznej dojrzałości i czy będzie się liczyła z realnemi warunkami naszego życia politycznego.

Mowa programowa, wygłoszona przez Stołypina w Izbie w d. 18 maja, poruszyła podstawowe, odwieczne prawa Finlandji. Nie podziała ona w żadnym razie uspakajająco na umysły w Finlandji. Dążność do podporządkowania rządu Wielkiego Księstwa rządowi rosyjskiemu jest o tyle niezgodna z prawami zasadniczemi, że zauważyć to musi każdy obywatel Finlandji. I niebezpieczeństwo to jest należycie w kraju oceniane.

Jednakże — oświadczył w końcu Mechelin — mam nadzieję, że sejm finlandzki zachowa najzupełniej zimną krew i nie wyjdzie z granic bezwarunkowo legalnych".

Możliwem jest jednak, iż zwycięstwo wyborcze socjalnych demokratów posłuży na nowy powód do tych lub owych zarządzeń represyjnych.

Najbliższa przyszłość to pokaże.

PIERWSZA SESJA III DUMY.

Pierwsza sesja III Dumy skończyła się; posłowie rozjechali się na wakacje, które potrwają aż do 28 października. Formalnie więc nadeszła chwila zsumowania owoców jej prac. Tu jednak nastręcza się trudność: jakkolwiek bowiem Duma uchwaliła kilkaset projektów, to jednak niema w ich liczbie ani jednego, o którym można byłoby powiedzieć, że ma znaczenie zasadnicze dla państwa i zamieszkujących je ludów. Ani sprawa rolna, ani sprawa robotnicza nie były w Dumie podniesione, a jedyna poważniejsza praca Dumy, zatwierdzenie budżetu, była zupełnie bezowocną, ponieważ budżet został zatwierdzony bez zmian. Odrzuciła wprawdzie Duma kredyt na budowę pancerników, ale niema wątpliwości, że nie będzie to miało żadnego znaczenia praktycznego, gdyż pancerniki już oddawna się budują i sami członkowie Dumy jeździli je oglądać.

Jedynym realnym owocem 8-miesięcznej pracy Dumy jest — zdaniem samych kierowników Dumy — właśnie fakt tak długiego jej istnienia, co ma być utrwaleniem ustroju konstytucyjnego.

W komisji zajmującej się sprawą robotniczą na jednem z ostatnich posiedzeń przed ferjami Dumy, wynikł ciekawy zatarg: omawiano projekt ubezpieczania robotników. Przedstawiciele opozycji zaproponowali zwrócić się do rady ministrów z prośbą, by pozwolono na urządzanie po wielkich środowiskach przemysłowych zgromadzeń z udziałem robotników dla omówienia tego projektu. Przeciwko temu powstali październikowcy twierdząc, że daleko „prawidłowiej" byłoby zwrócić się do ministerjum handlu i przemysłu i poprosić je, aby za pomocą inspektorów fabrycznych postarało się poznać poglądy robotników na tę sprawę. Koniec końców komisja uchwaliła polecić prezesowi swemu baronowi Tyzenhauzenowi, by zwrócił się do Stołypina z prośbą o „nieprzeszkadzanie odbywaniu zgromadzeń z udziałem robotników dla rozpatrywania tego projektu prawa"; jednocześnie jednak październikowcy przeprowadzili uchwałę, by „poznawać poglądy robotników za pośrednictwem inspekcji fabrycznej".

KORUPCJA.

Sprawa Humberta przeciwko „Matin'owi" — oto niezmiernie ciekawy obraz zgnilizny panującej wszechwładnie w demokratycznym ustroju Francji. Na ławie oskarżonych zasiada redaktor jednego z najpoczytniejszych pism Francji, p.Bunau-Varilla. Oskarża senator-kapitan Humbert. W charakterze świadków przewijają się mężowie stanu, b. ministrowie, politycy, finansiści, dzisiejsi mocarze Francji. Wszakże sądzono nie redaktora, ale warunki, w których podobne pasorzyty znajdują dla siebie sprzyjające środowisko. Dobrym jest również oskarżyciel, p. Humbert.

Bunau-Varilla, to typ prawdziwy współczesnego rycerza — „chévalier du scandal". Rozpoczął, jak wszyscy jego współtowarzysze pióra i nożyc od Panamy, na której zdobył kilkadziesiąt miljonów franków. I oto zapragnął być czemś więcej niż dziennikarzem, chciał panować, a przy pieniądzach i pewnym... sprycie w Paryżu o to nie trudno. Burżuazja nie potrafi się sama rządzić — powiedział ktoś — rządzą nią zawodowi inteligenci-dziennikarze i adwokaci i — dodajmy—zawodowi szalbietrze.

Bunau-Varill — to typowy przedstawiciel tych ostatnich. Za kilka miljonów nabył on znaczną część dziennika „Matin" i posiadł narzędzie wszech

---

BOLESŁAW SZCZĘSNY HERBACZEWSKI.

A ŚNIEGI GDY STOPNIEJĄ..

(INTERMEZZO).

»Jeśli kobietę Bóg wynalazł, to gdziekolwiek Jego siedziba, niechaj wie, iż stał się winowajcą wszystkich nieszczęść«.
Leon Richer — »La femme libre«.

Zimowe słońce złociło szyby komnaty, słało się wstęgą świetlną i ginęło u progu drzwi.

Helena, piękna balzakowska kobieta, poprawiła ogień na kominku, zarzuciła na ramiona barwny szal i nucąc wesołą piosnkę, siadła do fortepianu.

Kilka zaledwie wzięła tonów, gdy wpadło do salonu uśmiechnięte, promienne dziewczę z płowemi rozpuszczonemi kosami, podobne skrzydlatym marzeniom Botticelli'ego i rzuciło się ku Helenie, zasypując jej ręce i twarz gorącymi pocałunkami.

— Patrz! — i, pokazując trzymany w ręku list, zaczęła czytać:

— A śniegi gdy stopnieją i konwalje gdy zakwitną. te cudne wonne, ukochane Twoje kwiaty, wprowadzę Cię w krainę szczęścia, będę Twoim na wieki«..

— To wam swe szczęście zawdzięczam! — przyciskając gorąco do ust, mówiła urywanym głosem, oszołomiona szczęściem. — Wyście mnie, biedną sierotę, przygarnęli, otoczyliście troskliwością iście rodzicielską, nie robiąc różnicy między mną a waszemi dziećmi... Tu, u was, poznałam Anzelma... Jak ja jestem niezmiernie wam wdzięczna... moi dobroczyńcy... Kiedy i jak się wam odwdzięczę!..

Helena lekko się broniła przed nową falą pocałunków dziewczęcia.

— Ależ, Wandeczko, kocham cię, jak swą rodzoną siostrę i cieszę się bardzo, bardzo twoim szczęściem... Masz przyrzeczony przezemnie posag w razie twego zamążpójścia, więc wyprawię cię z domu jak rodzone dziecko.., Dawno już zauważyłam, że Anzelm zakochany jest w tobie po uszy, a i ty nie patrzysz nań okiem obojętnem...

— Jak on mnie kocha!.. — przerwała Wanda z zapałem. Pisze, że nic nie stoi już na przeszkodzie do naszego szczęścia, dziś więc pzzyjdzie prosić was, jako opiekunów moich, o moją rękę...

Wejście pokojówki, odwołującej Helenę do męża, przerwało serdeczną rozmowę. Helena jeszcze raz czule uścisnęła młode dziewczę i wyszła z salonu.

Wanda została sama. Stanęła przy oknie. Słońce całowało twarz jej i aureolą zwisało nad jasną głową. Przerzuciła list oczyma, uszczęśliwiona znów czytać jęła po raz już setny.

—...»A śniegi gdy stopnieją i konwalje gdy zakwitną, gdy wiosna czary swoje na ziemi roztoczy... pójdziemy przez życie razem... połączeni na zawsze... A poprowadzę Cię drogą, kędy pod nogi kładą się mgły

władnego panowania. Dzięki systemowi szpiegostwa i przekupstwa zdobył on tajemnice wszystkich mężów stanu i drzwi wszystkich urzędów zostały przed nim rozwarte. Niemasz niemożliwości dla niego. Reklamy „Matin'a“ głoszą: „il dit tout“, o redaktorze zaś mówią: „il peut tout“. I istotnie, czego nie potrafił „Matin“?

„Matin“ ogłasza dokumenty będących w toku procesów i spraw dyplomatycznych, obsadza urzędy w sądownictwie, biurokracji, w wojsku i marynarce, pośredniczy w dostawach, kasy państwowe stoją dlań otworem, na jego usługach są mężowie stanu, senatorowie deputowani, ministrowie; posłuszną mu jest marynarka, literatura i akademja. „Il peut tout!“ Tylko pierwszy krok był trudny, ale każdy następny czynił go panem sytuacji, gdyż szalbierstw swych nie popełniał sam, lecz przy współudziale. Gdy w kasie „Matin'a“ zabrakło pieniędzy, ukazywał się artykuł zapowiadający ciekawe rewelacje i rzadko się zdarzało, aby przyrzeczenie było spełnione. Krótkie rendez-vous odnośnej osoby z p. dyrektorem było jedynym skutkiem tego artykułu. W ten sposób ciągnął p. Bunau-Varilla zyski z interesów Teresy Humbert, znakomitego markiza Caza-Riera, zrobił majątek na kartuzach, wyssał co mógł z Sywetona. Gdy mu zbrakło łotrów — kupował ludzi uczciwych i zamieniał ich na narzędzia swych szalbierstw — dawał im wysokie stanowiska w państwie i przy pomocy ich panował. Słowem był królem, królem styl moderne — był mocarzem, albowiem wszystko było u jego stóp. L'impéreur du bluff — nazywano go szyderczo, ale obawiano się go. I oto dziś zasiadł na ławie oskarżonych, wprawdzie w dobrym towarzystwie.

W roku ubiegłym pismo *Humanité* ogłosiło ciekawe rewalację. Za czasów ministerstwa Waldeck-Rousseau, „Matin“ zrobił patrjotyczny interes na pewnej ekspedycji. w Afryce. Ponieważ rząd nie miał zamiaru szukać szczęścia w Saharze, więc „Matin“ złożył ofiarę dla ojczyzny i sporządził ekspedycję własnym kosztem. Przez kilka miesięcy czytelnicy mogli czytać na łamach tego pisma o postępach sprawy patrjotycznej, mogli widzieć fotografje dzielnych wysłańców „Matin'a“ podziwiać ich odwagę. Nagle wszystko się urwało. Jedynym skutkiem tego przedsięwzięcia była luka w budżecie ministerstwa kolonji wynosząca 648,880 franków — sumę wydano tytułem zapomogi *zwrotnej* „Matin'owi“. I oto żadne ministerjum, a było ich po Waldeck-Rousseau wiele, nie odważyło się energicznie upomnieć o zwrot pożyczki. Wreszcie pod naciskiem izby kontrolującej i gubernatora kolonji afrykańskiej, od którego ta ostania dopominała się rachunku, minister Milliés-Lacroi postanowił zarządać zwrotu pieniędzy. Wszakże otrzymał odpowiedź: „jeśli mię pan jeszcze raz będzie nudził tą sprawą, to w ciągu tygodnia przestaniesz być ministrem“. Minister wiedział, że Bunau-Varilla „peut tout“ i sprawa poszła znów ad akta.

Bunau-Varilla ma do swego gabinetu specjalny drut telefoniczny z parlamentu z senatu, z pałacu elizejskiego i ma coś więcej — ma drut potajemnny dołączony do głównego przewodnika elektrycznego i tanim kosztem wprowadza w ruch swoje 8 rotacyjnych maszyn, z których każda bije po 100 tysięcy egzemplarzy na godzinę. Ogłosiły to pisma niezależne, powołały sie na świadków, ale kto ośmieliłby się powołać „Matin“ przed kratki sądowe?!

Jeżeli to się stało obecnie, to łatwo się domyśleć że przeciwnik należy do tego samego gatunku ludzi — ludzi mogących wszystko i nie obawiających się niczego. Przeciwnik nazywa się Humbert.

Humbert jest to człowiek, „który opróżnia szuflady, domów w których bywa“. Tak mówią o nim znawcy świata politycznego. A człowiek mający taką renomę musi posiadać trochę sprytu. Humbert był kapitanem i sekretarzem przy ministrze wojny André. Wyleciał za wypróżnianie szuflad. Został wszakże zaraz potem sekretarzem „Matin'a“, naskutek czego jego sprawa w ministeryum wojny została umorzona. Wogóle cieszył się Humbert względami „Matin'a“ i prawdopowobnie nie bez poparcia tego ostatniego został deputowanym, a później senatorem.

Jako senator otrzymuje stanowisko ajenta jeneralnego Towarzystwa Przemysłowego, mającego do-

---

wstęgą świetlną, rosy sypią swe perły... A kiedy stąpać będziesz z lirą, brzmiącą tonami zerwanych strun w piersiach, zniży się słońce duże, czerwone i stroić będzie Twe skronie w glorję złocistą«...

Na czole jej, podobnem do wód głębokich, słało się słoneczne zamyślenie.

—... A konwalje gdy zakwitną... O, kwitnijcież, kwitnijcie prędzej, drobne, śnieżne kwiateczki!.. ukażcie się prędzej w czarnych borach, wynijdźcie corychlej z pod topniejącego śniegu i zajaśnijcie białe, niewinne, jak zwiastuny nowego życia, szczęścia i miłości... Kwitnijcie, drobne kwiatki... kwitnijcie...

Dziwna niepokalaność rozlewała się po twarzy dziewczęcia. Z oczu, jak z pól pełnych chabrów, wiała szeroka zaduma w dal.

I przebiegły falą zawrotną wspomnienia jasnych chwil szczęścia, pogody...

...Stała z Anzelmem u morza.

Stali zapatrzeni, szczęśliwi, jaśni... zasłuchani w dziwną pieśń, przemożną pieśń morza...

Złoty krąg słońca tonął w sinej dali...

Do stóp im biegły srebrne fale i rozbłękitnione odpływały ku gasnącemu słońcu...

Tonąca za sinem morzem łuna zorna jeszcze odbijała roztopione złoto w lazurach skąpanych jej oczach, jeszcze rzucała ostatni królewski na jego czole pocałunek, a mroki nocne już kładły tajemne swe cienie...

Mewy krążyły nad niemi...

I osunął się przed nią przejasny, na kolana, i całował białe jej dłonie...

...A morze osrebrzone odpływało w siną dal...

Wzrok Wandy pobiegł za okno, zaśnieżone krzewy i drzewa, hen, hen! ku łunom zornym, ku niedalekiej już wiośnie, gdy konwalje kwitną, gdzie radość króluje i miłość...

Nagły hałas zbudził ją ze słodkich rojeń.

Przez drzwi gwałtownie rozwarte wpadła Helena, trzęsąca się ze wzruszenia, z oczyma nieprzytomnemi, ustami drgającemi nerwowo, wołając:

— Wando!.. Jestem zgubiona!..

— Co?.. Co się stało?..

— Mój mąż... mój mąż.. podejrzywał mię... Dziś znalazł ilst... Nie... nie... Nie pytaj mnie więcej... Potem ci wszystko wytłomaczę... Jest tam, zaraz tu przyjdzie... Przerzuca moje biurko... szuka po szafach .. Musiałam się ratować, inaczej byłby mię zabił... Więc zaprzeczyłam wszystkiemu... powiedziałam, że...

— Powiedziałaś, że?...

— Liczyłam na twoją przyjaźń... Przytem na samą myśl o dzieciach... nie mogłam zrobić inaczej... powiedziałam... że list ten nie należy do mnie...

I rzucając się do stóp Wandy, błagała.

— Och, nie zdradź mnie!.. W imię wszystkiego, co zrobiłam dla ciebie, w imię naszej przyjaźni, ratuj mię... Błagam cię!.. Powiedz, że to do ciebie...

— Do mnie?!., — zdumiona wyjąkała Wanda. — Poświęcić siebie, swe życie — i owszem... Dla ciebie

stawy dla państwa i w charakterze tegoż otrzymuje 12,000 franków rocznej pensji niezależnej od prowizji, która wynosi sporo, bo 200 franków od każdego zamówionego wozu. Rzecz prosta, że tak rozległe stosunki nabywa pan Humbert dzięki panu Bunau-Varilla, któremu oczywiście oddał, albo i oddawał ciągle przysługi. Aliści nagle serdeczny i przyjacielski stosunek króla i jego adjutanta zrywa się i „Matin" ogłasza piorunujący artykuł przeciwko sprzedawczykowi i zdrajcy Humbertowi. którego oskarża nietylko o zbrodnie popełnione przy współudziele jego dyrektora, ale nadto o współdziałanie w sprawie znakomitego dziś oszusta Rochette'a. I „Matin" mówił prawdę: Humbert go opuścił, bo Rochette zapłacił więcej.

A Rochette miał swoje rachunki z „Matin'em". Wczorajszy złodziej, szalbierz, oszust i bankrut zamknięty w więzieniu, dziś dzięki swemu „talentowi" znów trzęsie giełdą i parlamentem i mści się, straszliwie mści się na tych, co pod nim dołki kopali. Do tych ostatnich należał Bunau-Varilla, który nie znosi współzawodników. Pod tym to wysokim protektoratem jednego z największych oszustów świata wystąpił Humbert do walki z tak groźnym mocarzem. Okoliczności sprzyjały mu.

Kilka miesięcy temu „Matin" zarządał od b. ministra sprawiedliwości jakiejś przysługi. Gdy się spotkał z odmową rozpoczął przeciw niemu kampanję, która uczciwego, a naiwnego Chamié pozbawiła raz na zawsze popularności. Było to *memento* dla polityków. Tyranja mocarza szantażu zaszła już zbyt daleko i postanowiono go obalić. Skorzystano z okazji Humberta tem chętniej, że nowy mocarz potrząsający kiesą jest na pogotowiu — Rochette potrzebuje usług i gotów jest za nie płacić. I oto „Matin" za to, że powiedział cokolwiek zadużo, został skazany na 50,000 franków odszkodowania i 3,000 franków kary. Nie o pieniądze wszakże chodzi, ale o fakt, o fakt, że znalazł się sąd, który odważył się skazać „Matin".

Ale wojna dopiero się rozpoczęła. Kilka miesięcy temu p. Bunau-Varilla groził ministrowi, że go obali, dziś mówi już inaczej — dziś grozi Republice. „Jeśli trybunał republiki mię skaże — ja obalę republikę" — w przeddzień wyroku.

Nie obali, bo republiki nie ma jeszcze.

Almar.

Prof. Dr. AUGUST FOREL.

ŻYCIE I ŚMIERĆ.

Czem jest życie? Czem jest śmierć?

Czy, mimo cały ogrom trosk, niepowodzeń i cierpień, warto bez szemrania przejść cierpliwie przez życie? Czy należy bytowi oddać pierwszeństwo przed niebytem?

Na pytania powyższe optymiści odpowiedzą twierdząco, pesymiści zaś - przecząco. Zastrzegamy z góry, że w odpowiedziach ludzi ciemnych i chorowitych, których życie dla nich samych i dla najbliższych jest jeno ciągłem pasmem wiecznych cierpień, brzmieć będą nuty negacji dla istnienia, lecz odpowiedzi ich, jako zasady, względem pozostałych zdrowych ludzi, świat nasz zamieszkujących, stosować nie można. Mam tu głównie na myśli anormalne duchowo natury ludzkie o występnych, złośliwych, etycznie zdeprawowanych skłonnościach, jak również melancholijne, zgorzkniałe, zniechęcone i cherlawe typy, których życie tak często bywa straszną plagą dla społeczeństw.

Aby pocieszyć siebie, natchnąć i zachęcić do życiowego pochodu, człowiek lęku pełen i nieświadomości wobec otaczających go ze wszech stron, tajemniczych, nieznanych mu sił natury, mocą fantazji swojej stworzył wiarę i religię, obiecującą mu raj i wieczyste błogosławione, szczęśliwe, wolne od mąk i trudów, bytowanie pośmiertne.

Ale ponieważ wiara w życie przyszłe coraz mniej daje się pogodzić z postępami naszego poznania, rozpatrywać będziemy wyłącznie te tylko poglądy na życie, które pomijają raj i piekło w życiu pozagrobowem. Ludzie wierzący poglądy takie nazywają lekceważąco „materjalizmem". Nazwa ta jednak jest nieścisłą, gdyż

---

dla twych chęci, nawet dla Karola, gotowam to uczynić, w każdej chwili... ale poświęcić swój honor?

Helena zerwała się oszalała z trwogi, przerywając okrzykiem:

— To on!..

Obie z przerażeniem wpatrzyły się w drzwi.

II.

Wszedł Karol. Blady zmieniony, lecz starający się zachować zimną krew, zbliżył się do młodej dziewczyny i stanowczym głosem zapytał:

— Wando!.. do kogo jest pisany ten list?...

Helena szybko podskoczyła do nich zokrzykiem:

— Do Wandy!..

— Nie ciebie pytam! — surowo przerwał Karol. — Wando, odpowiedz.

Wanda nizko pochyliła głowę i cichym, ledwie dosłyszalnym głosem szepnęła:

— List ten... jest... do mnie pisany...

Karol natomiast z gwałtownem uniesieniem zawołał.

— Kłamiesz!... Tak, kłamiesz, gdyż kochasz Anzelma.!

Napół przytomna Wanda patrzyła nań szeroko rozwartemi oczyma. Milczała. Czy mogła zaprzeczyć swej miłości?...

— Skąd wiesz o tem? — czując niebezpieczeństwo, spytała Helena.

— Dostałem przed chwilą wiadomość od niego... Czekam nań... Przychodzi prosić mię o rękę Wandy... Jeżeli jednak Wanda otrzymała podobny list, który znamionuje jej miłość i oddanie się innemu, w takim razie...

Przerwał, zwracając się do Wandy:

— Wando! Słyszałaś mnie?.. Jaką mam dać odpowiedź panu Anzelmowi, gdy zjawi się tu, być może za chwilę?...

Wanda nic nie mogła postanowić. Przerażona, patrząca błędnym wzrokiem, szeptała tylko:

— Poświęcić miłość... Poświęcić Anzelma!..

Teraz dopiero, w tej chwili, ujrzała otchłań, w jaką ja staczano. Na twarzy jej odbiła się walka wewnętrzna: jeżeli wyzna prawdę — zaprzeczy swym poprzednim słowom, sprowadzi nieszczęście na ten dom, dom swych dobroczyńców, jeżeli zaś winę przyjmie na siebie — straci Anzelma na zawsze...

A Helena stała za plecami Karola i pętała każde poruszenie Wandy, patrzyła z bezgraniczną rozpaczą, błagalnie hypnotyzując swem spojrzeniem...

— Odpowiedz mu pan .., — rozwarło wreszcie wargi dziewczę, szepcąc niewyraźnie: — odpowiedz... że nie chcę... wyjść za mąż...

Zapanowała cisza. Tylko słychać było przyśpieszony oddech Heleny, opierającej się o krzesło, by nie upaść.

— A konwalie... gdy zakwitną..., — szeptała Wanda machinalnie, obłędnie.

Niezbadane we wszechświecie kosmicznym, z którego bierzemy początek i ku któremu po śmierci wracamy, jest zarówno duchem jak i materją. Będziemy zatem używać nazwy „monizm“, która określa poprostu że pojęcia „duch“ i „materja“ nie odpowiadają różnym i że nasz umysł ludzki jest niczem więcej, jak tylko kompleksem, który nazywamy ustrojem mózgowym. Przyczem jest rzeczą najzupełniej obojętną, czy obserwujemy życie i dążenia ustroju tego na sobie samych, jako introspekcję psychologiczną, czy też u innych tworów żywych, pewien rodzaj studjów biologicznych; obie bowiem metody powyższe sprowadzają się w gruncie rzeczy do jednej.

Opierając się na zasadach monistycznych, które nie są sprzecznemi z rzeczywistą istotą nauki, odsuwamy od siebie zjawiska nadnaturalne i, zwracając się ku naukom przyrodzonym, postaramy w nich znaleźć odpowiedzi na zadane powyżej pytania.

Powszechnie uznanem jest twierdzenie, że fakty samobójstw nie zdarzają się śród zwierząt, naszych najbliższych krewnych, gdyż samounicestwienie skorpiona, objętego płomieniami, jest jeno podaniem. Jeżeli zwierzęta należące do jednego gatunku, faktycznie nigdy się dobrowolnie nie tępią, jak to czynią ludzie, to głównie dzieje się tak dla tego, iż nie posiadają ku temu odpowiednich środków, lub też nie są w stanie pojąć tego. Śród niektórych z nich jednak spotykamy objawy pewnego rodzaju samobójstw, które umacniają tylko przypuszczenia nasze. Małpy i papugi niektórych gatunków niekiedy w celach samobójczych zagłodzają się, najczęściej z rozpaczy, gdy giną małżonkowie ich lub dzieci. Pszczoła-robotnica życiem swem niekiedy okupuje życie królowej. I widzimy, że w pierwszym z przytoczonych wypadków samobójstwa następują z rozpaczy nad utratą ukochanych członków rodziny, w drugim zaś — powodem tego kroku jest zaparcie się siebie, poświęcenie dla dobra ogółu, ponieważ Królowa jest wprost niezbędną dla życia całego roju pszczelnego. Wyżej wskazane pobudki samobójstwa same przez się są już bardzo ważne. Skomplikowanie mózgu ludzkiego zrodziło mnóstwo najprzeróżniejszych przyczyn samobójstw; do popełnienia jego pchają: Rozpacz, utrata czci, wykolejenie życiowe, popełnione i wykryte następnie sprzeniewierzenie, nieszczęścia, choroby, cierpienia, głównie natury moralnej i t. d. Bywają też wypadki samobójstw śród ludzi, popełnianych skutkiem tych samych przyczyn, które do podobnych kroków pchają małpy i papugi; a ileż to razy się zdarza, że ludzie, podobnie owej do pszczoły-robotnicy, składają dobrowolnie życie swe w ofierze ojczyznie i narodowi. Ogromnie charakterystycznem jest to, że zarówno ludzie religijni, jak i wolnomyślni lub zupełnie niewierzący, poświęcają swe życie dla jednakich ideałów uczuciowych.

By się dokładniej zastanowić nad zagadnieniem, korzystnem będzie posłuchać, co nam o życiu mówi nauka. W roku 1830 Schwann dowiódł, iż komórka jest podstawowym elementem tkanki żywej; przez czas długi uważaną była ona za protoplastę życia. Panowały niegdyś pojęcia, według których zjawienie się na świat istot żyjących było czemś nagłem, samorodnem. Całe tomy poświęcano roztrząsaniu poglądów tych, całe tomy zajmowały pro i kontra tych twierdzeń. Walczyły ze sobą ciągle w dziedzinie tej dwie wielkie szkoły: witalistyczna i mechaniczna. Pierwsza ze szkół tych opierała swe zasady na wierze w siłę życiową właściwą jedynie istotom zorganizowanym, i miała być czemś zupełnie odmiennem, niż istota t. zw. mechaniki atomistycznej. Ostatniemi czasy Rejncke na nowo do życia powołał witalizm przez stworzenie własnej hypotezy t. z. „dominantów“ t. j. energji mistycznych, które on wyłącznie życiu przypisuje. Mechaniści natomiast starają się siłami wszystkiemi teraz już objaśniać zjawiska życiowe wyłącznie za pomocą sił chemicznych i fizycznych, dziś nam znanych.

Godnem uwagi jest to, że ludzie, niestety nawet i większość uczonych, nie mają odwagi przyznać się otwarcie: „tego nie wiem jeszcze“, lecz czują się w obowiązku braki i luki wiadomości naszych zapełniać dogmatycznemi hypotezami. I jak Don Kichoci, bronią ich wszelkiemi możliwemi siłami, środkami i sposobami, nie widząc, że walczą tylko... z wiatrakami. W rzeczywistości mechanizm jest też jeno wielce prawdopodobną hypotezą, która zostanie tak długo niedowiedzioną, dopóki się nie uda nam doświadczalnie stworzyć życia przy pomocy chemji lub jakiejkolwiek innej nauki. Nie

---

Karol zaś pochylił się nad żoną i z bezgraniczną radością, drgającą w jego głosie, mówił do niej:

Przepraszam cię, przepraszam, najdroższa... posądziłem cię niesłusznie!..

Ucałował Karol tkliwie Helenę, następnie zaś zwracając się do Wandy, chłodno dodał:

— Teraz trzeba załatwić drugą... Pojmuje, że nie chcesz wyjść za pana Anzelma, lecz obowiązkiem człowieka, który ten list pisał, jest poślubić cię natychmiast.

— Powiedziałam już, — zniecierpliwiona stanowczo odparła Wanda: — że nie chcę wychodzić za mąż i nie poślubię nikogo..

Karol patrzył na nią wielce zdziwiony.

— Dobrze... lecz teraz... teraz co myślisz robić?..

Robić? — spytała również zdziwiona dziewczyna.

— No, tak!.. Obecność twa odtąd w naszym domu... przy mej żonie i dzieciach...

— Wyjadę! — z dumą przerwała.

Karol skłonił lekko głowę i wyszedł.

Helena wsłuchiwała się przez chwilę w odgłos kroków oddalającego się męża, wreszcie rzuciła się na szyję Wandzie, wołając:

— Och... dzięki ci... uratowałaś mię... Moja ty, droga, kochana kuzynko!... Twego poświęcenia ja ci nie zapomnę — przez życie całe...

Powoli jednak uspokoiła się, otarła z twarzy ślady łez, stanęła przed lustrem, przysypała pudrem zaczerwienione powieki i, przeglądając się w lustrze, pewna już siebie, mówiła:

— Wiesz co, moja biedna Wandziulu, — koniec końców, bardzo dobrze się stało!... Gdybyś mię była zdradziła, nie mogłabyś przyjąć odemnie posagu, i Anzelm, kto wie, czy nie usunąłby się również... I cobyś wówczas robiła?.. A tak, nie opuszczę cię nigdy, będziesz miała odemnie roczną rentę... No, przyznaj sama, że lepiej się stało.. Prawda?

Wanda uśmiechnęła się blado.

— Zostaw mię!... — po chwili milczenia, zmęczonym, zamierającym głosem odparła: — Potrzebuję samotności, chcę być sama...

Helena uściskała jeszcze raz Wandę i wyszła. Wanda zaś ciężko, bezwładnie osunęła się na kanapę.

W linjach ust jej zamarł bezbrzeżny smutek.

Obłędnie zapatrzyła się przed siebie oczyma łez pełnemi, bezwdzięcznie szepcąc:

— A śniegi gdy stopnieją... i konwalje... gdy zakwitną...

I wybuchła wielkim, głośnym płaczem.

Nagle zajęczał dzwonek.

Zerwała się, przyciskając ręce do piersi, z krzykiem:

— Anzelm!..

— Rzuciła się do drzwi, zatrzymała, słysząc w przedpokoju głuchy łoskot otwierających się drzwi. Blada, nieruchoma, stanęła jak lunatyczka, jedną ręką oparta o kominek, zasłuchana w ciszę.

I słyszała, jak służąca przeprowadzała Anzelma koło drzwi salonu do gabinetu Karola. Chciała wybiedz,

mamy zupełnie pojęcia o najprostrzym domniemanym mechanizmie życiowym, próżnem więc byłoby budować na nim jakieś zasadnicze twierdzenia naukowe i na temat ten pisać pseudo rozumowe rozprawy. Nie zapominajmy jednak, że „mechanika“ życia jest sama przez się i „mechaniką“ duszy i właśnie dlatego winna być, choćby elementarnie tylko, uduchowioną. Co się zaś tyczy witalizmu, jest on poprostu dogodną i zręczną sztuczką, mającą na celu zastąpienie nieznanych nam jeszcze pojęć przez górnie, lecz pusto, brzmiące słowa.

Dziś już jest nam wiadomem, że komórka nawet jest organizmem bardzo skomplikowanym, przejawiającym liczne duchowe właściwości, jak to stwierdził np. Engelman u wymoczków, których ciało jest zróżniczkowane, zawiera wiele substancji chemicznych i spełnia wszystkie najgłówniejsze elementarne funkcje życiowe. Z drugiej strony, wszystko przemawia za tem, że pra-życie na ziemi powstało z energji chemicznych i fizycznych, które działały, gdy się po raz pierwszy woda na skorupie ziemskiej skropliła. Gdybyśmy nawet chcieli dowieść, iż jest przeciwnie, musielibyśmy i tak zgodzić się z tem, że domniemana przemiana energji fizyko-chemicznych w energję życiową może mieć miejsce jedynie pod postacią nieskończenie drobnych zjawisk molekularnych; które są może zaledwie miljonową cząstką komórki, a może mniejszą jeszcze, i które dla dzisiejszych naszych mikroskopów są najzupełniej niedostępne. Jeśli gdziekolwiek, to tutaj właśnie przyznaćby należało: „to nie wiem jeszcze“ i bardzo się wystrzegać zarozumiałych i przedwczesnych twierdzeń, narażających autora ich jedynie na śmieszność. Mamy jednakie prawo i obowiązek szukać prawdopodobnych zasad przypuszczalnego rozwoju molekuł w komórki żywe, by, o ile to tylko jest możliwem, dociekania nasze posuwać naprzód.

Najniższy twór żywy, jaki znamy, jest to pojedyncza komórka żyjąca, stojąca na pograniczu dwu światów, zwierzęcego i roślinnego. Istota taka nigdy się nie starzeje, dzieli się i życie jej trwa dalej w obu, oderwanych od siebie, połowach. Śmierć organizmu tego spowodować może tylko jakiś przypadek. Aby życie swe przedłużać musi jednak ona od czasu do czasu się konjugować z inną takąż i tegoż samego gatunku komórką; proces ten polega na wymienieniu połowy jądra na odpowiednią połowę jądra innego organizmu. I przy pomocy konjugacji może się to jednokomórkowe stworzenie rozmnażać do nieskończoności (przynajmniej względnie).

Postać rzeczy zmienia się jednak wówczas, gdy większa liczba komórek grupuje się w organizm wielokomórkowy — roślinę lub zwierzę. Kompleksy komórek bywają u roślin w mniejszym lub większym stopniu demokratyczne (zdecentralizowane), u zwierząt zaś mniej lub więcej hierarchiczne (scentralizowane); wynikającym stąd skutkiem jest ustalanie się poszczególnych komórek i przystosowywanie w różnych tkankach i organach do rozmaitych czynności. Od tej chwili ustaje życie indywidualne pojedynczej komórki, jako takiej, natomiast staje się wewnętrznie związane z życiem gromadnem całej istoty, t. j. zwierzęcia lub rośliny. Ta wielokomórkowa istota z kolei staje się samoistnem indywiduum, którego życie rozwija się przez określony przeciąg czasu. Od pewnego momentu, mianowicie począwszy od konjugacji dwu komórek rozrodczych czyli płciowych, przystosowanych do funkcji rozmnażania, indywiduum stopniowo przeistacza się przez dzielenie komórek i rozmnażanie w bardzo różnorodne i skomplikowane postacie. Te następujące po sobie przeobrażenia przy dzieleniu i różniczkowaniu komórek całej istoty, zwanej indywiduum, tworzą *antogenję* czyli historję rozwoju t. j. wiek młodociany, życie dojrzałe i starość, aż do śmierci. Rośliny i niższe zwierzęta tworzą formy przejściowe od najprostszych istot jednokomórkowych aż do złożonego, zjednoczonego, wyspecjalizowanego życia indywidalnego skomplikowanych organizmów. Niektóre zwierzęta niższe rozmnażają się przez pączkowanie, liczne rośliny za pomocą cebulek lub ablegrów. Rozmnażanie się takie jest jednak przez dłuższy okres czasu niemożliwe, i konjugacja jest konieczną zawsze dla wzmocnienia życia.

Postawiwszy na uboczu formy przejściowe (jak np. rośliny wyższe, polipy, robaki i t. p.), przechodzimy wprost do zwierząt wyższych, do których należy i człowiek. Rozmnażają się one wyłącznie płciowo. Tkanki i organy takiego zwierzęcia stanowią pewną uporządkowaną hierarchję. Indywiduum stanowi związaną ściśle, lecz jednocześnie ruchliwą jedność, złożoną z bardzo różnorodnych i skomplikowanych tkanek i organów. Jeden z organów tych, mózg, rządzi całą jednostką, uporządkowuje wszystkie jej energje, odbiera zmysłami wrażenia ze świata zewnętrznego, składa je, koordynuje i, za pomocą nerwów ruchowych i muskułów, kieruje wszystkiemi poruszeniami i czynnościami, przygotowanemi w laboratorjum jej centralnego akumulatora zróżniczkowanych energji. Inny znów organ, męzki lub żeński gruczoł płciowy, zawiera wytworzone przez się komórki embrjonalne, służące do utrzymania gatunku; są one dwojakie: męzkie, czyli spermatoidy, zawarte w męzkich gruczołach płciowych, i żeńskie, czyli komórki jajowe, zawarte w żeńskich gruczołach płciowych. Konjugacja mikroskopijnego jądra spermatozoidu z jądrem komórki jajowej w łonie matki w chwili zapłodnienia tworzy embrjon, w którym z początku skonjugowane komórki rozmnażają się i rozwijają wszystkie jednako, atoli zawierają in potentia kombinację cech gatunkowych ojca i matki. Przy powstaniu właściwego embrjonu, tworzącego się z oznaczonych grup komórek, zaczynają się one różniczkować w t. zw. listki zarodkowe, z których w szeregu następujących po sobie przeobrażeń stopniowo tworzą się tkanki i organy. I, w ten sposób, powtarzają się te wszystkie fazy rozwoju, przez które niegdyś przeszli przodkowie: życie embrjonalne, narodziny, dzieciństwo, młodość, dojrzały, czyli płciowy, okres życiowy, starość, po której śmierć przecina życie.

Począwszy od Haeckla indywidualny rozwój życia

---

lecz coś ją powstrzymało. W głębi duszy zaświtała jednak jeszcze nadzieja — ostatnia:

— Sumienie ją poruszy... wyzna wszystko szczerze!... Wróci mi Anzelma... moje szczęście wróci...

Twarz jej zapałała oczekiwaniem wbiegającego do pokoju Anzelma

Chwila — wieki.

I znów zamąciły ciszę piekielną zdala płynące kroki.

Zerwała się Wanda z radosnym okrzykiem:

— Idą!..

I z rękoma wyciągniętemi rzuciła się ku drzwiom. Ale drzwi zapadły z tym samym głuchym łoskotem, towarzyszył mu smutny odgłos ciężkich powolnych kroków.

Anzelm odchodził...

A ona stanęła nieruchoma. jak posąg, z oczyma utkwionemi w ostatni krwawy promień ginącego słońca, szepcąc głosem gasnącym:

— A śniegi... gdy... stopnieją...

W piersiach gasło to młode słońce, co miało świecić wiarą po przez ugory i zagony...

Stargana snów miłości przędza, której nićmi jasnemi wiązała życie i mogiły...

Zerwane harfy złote struny — nie zabrzmi już z pod dotknięcia blasków słońca pieśń nadziei w świat, w ludzi...

Skamieniała z bólu, obłędnie, bezdźwięcznie powtarzała:

— A konwalje... gdy... za...

Urwała i jak zbożny kłos podcięty, — padła.

Słońce zgasło.

---

jednostki, t. zw. bieg jego, od poczęcia aż do śmierci, mianujemy *ontogenją*. Gdy zastanowimy się nad współczesną ontogenją człowieka, jako też i wszystkich wyższych zwierząt wielokomórkowych, dojdziemy do przekonania, że powtarza ona stale historję rozwoju całego rodu odpowiedniego gatunku. Ale jakże różnorodną jest ontogenja, zależnie od gatunku. Podczas gdy generacje pewnych niższych zwierząt w ciągu paru tygodni, a nawet niekiedy dni kilku kończą bieg życia swego, spotykamy indywidua słonia, żyjące po dwieście i więcej lat, oraz indywidua krokodyla, trwające dłużej jeszcze. Widzimy dęby i lipy, żyjące po 400 do 500 lat, a nawet wellingtonję, których wiek sięga sześciu tysięcy lat. Wykluwająca się z jajka papuga bardzo szybko staje się dojrzałą i, jako taka, jest w stanie żyć do stu lat. Życie jedniodniówki w stadjum larwy trwa trzy i cztery lata, gdy tymczasem, jako owad dojrzały płciowo, żyje dzień jeden, od wschodu do zachodu słońca. Przepiękne pawiki nocne (motyle) żyją kilka miesięcy, jako liszki, czyli w pierwszem stadjum embrjonalnem, następnie rok lub czasem dwa, zamknięte w kokonach jako poczwarki, czyli w drugiem stadjum embrjonalnem, i, zaledwie godzin kilka, lub najwyżej dzień jeden, jako motyle. W tem stadjum ostatecznem nie odżywiają się zupełnie. Godzin kilka tylko polotu wzniosłego, krótki szał miłosny, podczas którego został utrwalony gatunek, a po którym następuje śmierć, oto cała treść życia samca. Samica żyje jeszcze dni kilka, by móc złożyć zapłodnione jajka. I to wszystko! Pszczoły i osy, tak usposobione słonecznie, pomimo wielkich skompikowań mózgów swych i inteligencji obyczajów, żyją kilka tygodni, podczas gdy mniejsze od nich, mrówki żyć mogą lat parę.

Życie indywidualne poszczególnego gatunku zwierzęcego lub roślinnego, jego zmieniające się formy i postacie, jego rozwój ontogenetyczny od poczęcia aż do śmierci, powstają z każdem nowem pokoleniem, coprawda nie z popiołów, jak znany z starożytnych legend ptak — Feniks, lecz ze skonjugowanych komórek zarodkowych, które w niepojęty dla nas sposób zawierają te specyficzne energje, z których nowe indywiduum przez cały bieg życia czerpie siły. Tę wielką zagadkę nauki przyrodnicze usiłują rozwiązać przy pomocy studjów nad ewolucją i teorją dziedziczności, w których właśnie kryje się tajemnica, jeżeli nie pierwotnego pochodzenia, to w każdym razie przeobrażeń i rozmnażania się istot żywych. Lamarck, Darwin, Haeckel, Weismann, Semon i wielu innych — oto drogowskazy postępu wiedzy naszej w tej dziedzinie.

Od chwili samonarodzenia się życia na ziemi, bezwątpienia, w formach bardzo prostych, choć dziś jeszcze niewyjaśnionych, a które, wskutek podobnych warunków zewnętrznych, nastąpiło w wielu miejscach jednocześnie, indywidua, złożone z prostych komórek, zaczęły się składać, kombinować i przeobrażać w ciągu wielu miljonów generacji i długich szeregów lat. Komplikując coraz bardziej postacie swe i różniczkując się, stosownie do wymagań życia, wyżej wskazane organizmy stopniowo wytworzyły państwa: roślinne i zwierzęce, w dziś znanych nam formach.

Niezliczone zabytki paleontologiczne, które znajdujemy w głębiach ziemi w rozmaitych jej pokładach, odsłaniają nam życie przeszłe takich istot, z których żaden gatunek do dziś dnia się nie zachował. W najstarszych okresach geologicznych, które życie czyniły możliwem, nie znajdujemy istot o budowie tak złożonej, jaką posiadają dziś żyjące wyższe zwierzęta i rośliny. Geologja uczy nas nadto, że w niedawnym, stosunkowo do pojęć geologicznych, czasie, mianowicie w okresie trzeciorzędowym, życie było o wiele intensywniejsze, i liczba gatunków bez porównania większa, niż dziś, a to z powodu wyższej temperatury i większej obfitości wody. Obok olbrzymich i dziwacznych zwierząt tego okresu pojawia się pra-człowiek, który stoi w znacznie bliższem do nas pokrewieństwie z dziś żyjącemi wyższemi małpami człekokształtnemi.

Gatunki zatem powoli się przeobrażają, lecz wymaga to olbrzymiego przeciągu czasu; dowiedziony przez Darwina dobór naturalny stanowi jeden z licznych czynników doskonalenia się form. Jest już uznane, jako pewnik, że energje fizykalne i chemiczne, jak np. ciepło, światło, substancje chemiczne, oraz pobudliwość zmysłów, powoli, lecz pewnie, wpływają na istoty żyjące, i że wywoływane przez nie przemiany, w sposób bardzo nieznaczny i powolny, a do dziś dnia jeszcze nie zbadany, wyciskają swe piętno na zarodku, wywołując w niem stopniowo drobne zmiany, i przez to przygotowują powstawanie nowych odmian. Właśnie do tej dziedziny zjawisk należy przypuszczalnie to, co de Vries ochrzcił mianem *mutacji*.

W dalszym ciągu zostało dowiedzionem, że pod wpływem licznych i intensywnych nowych czynników niektóre gatunki często zmieniają się stosunkowo szybciej w porównaniu z innemi, które w ciągu całych tysiącoleci pozostają prawie niezmienione. Szczególnem jest przez Heckla zanotowane zjawisko, iż rozwój ontogenetyczny indywiduum jest skróconem powtórzeniem rozwoju filogenetycznego (rodowego), t. j., powtarza formy tych gatunków, które są, jak to wskazuje paleontologja, przodkami danego indywiduum. W ten sposób liszka, z której ma się rozwinąć motyl, odtwarza sobą formy robaka, będącego geologicznym przodkiem owadów. W pewnem stadjum embrjon ludzki posiada łuki skrzelowe, na podobieństwo, w przeszłości z nim spokrewnionych, ryb. Embrjon wieloryba posiada zęby, których nie znajdujemy u osobnika dorosłego, ale które, natomiast, spotykamy u jego przodków — zwierząt ssących. Gruntowne studja nad tysiącami zwierzęcych i roślinnych gatunków, dziś ziemię zamieszkujących, coraz bardziej umożliwiają nam stwierdzenie prawdziwości pokrewieństwa ich i wspólnego pochodzenia. Może być to zrozumiane przez tych wyłącznie, którzy, nie zadawalając się porównywaniem zewnętrznych form rozwiniętych istot, badają dzieje budowy anatomicznej, przedewszystkiem zaś rozwój ontogentyczny czyli embrjonalny.

Wychodzimy z dwu zasadniczych założeń;

a) W stosunku do życia ludzkiego przemiana gatunków wymaga tak ogromnie długiego przeciągu czasu, iż wydają się nam one stałe i niezmienne. Współczesny wilk bardzo nieznacznie różni się od braci swych, żyjących przed czterema tysiącami lat. Zwierzęta, wyobrażane przez starożytnych egipcjan, babilończyków i chińczyków, zdają się niczem nie różnić od żyjących dziś w tych samych krajach. Nie należy się zatem dziwić, że najgłówniejsze cechy każdej z dziś zyjących, ras ludzkich w ciągu trzech do czterech tysięcy lat zmieniły się prawie wyłącznie przez krzyżowanie (mieszańcy). Postępu kultury naszej nie zawdzięczamy doskonaleniu się form mózgu naszego, lecz systematycznie zdobywanej i gromadzonej przez setki pokoleń wiedzy.

b) Jest zupełnie jasnem, że wszystkie specyficzne cechy poszczególnego gatunku, t. j. formy jego i przymioty duchowe i nerwowe, zachowują się jako energje potencjalne, w skonjugowanych komórkach zarodkowych, z których następnie rozwija się indywiduum. Pozatem wyżej wspomniane cechy specyficzne są skombinowane w embrjonie z cechami indywidualnemi odmian, powstałych na drodze krzyżowań przy pomocy rozmnażania płciowego.

Wskutek przystosowywań się do warunków zewnętrznych, pojawiają się nowe odmiany. Ogół energji specyficznych gatunkowych, rasowych i t. d., zawartych w obu skonjugowanych komórkach zarodkowych i z których powstaje indywiduum, dajmy na to — człowiek, tworzy to, co Semon nazywa *„erbliche Mneme“* (dziedziczna pamięć). Genialny ten badacz dowiódł, że owa

„erbliche Mneme“ nietylko się znajduje w męzkich i żeńskich komórkach zarodkowych, lecz także i w pozostałych komórkach ciała. Ale zróżniczkowanie i wyspecjalizowanie niepłciowych organów czyni je niezdolnnmi do rozmnażania gatunku, ponieważ nie są one, przynajmniej u zwierząt wyższych, przystosowane odpowiednio do tych czynności, lecz przeznaczone do innych celów, przez co nie atrofują. Teorję Semona potwierdzają u roślin ablegry i szczepienia. Toż samo stosuje się do pewnych zwierząt niższych, częściowo nawet do salamander, jaszczurek i t. p. u których komórki uszkodzonej części ciała (np. kikut obciętej nogi lub ogona) są w stanie odrodzić cały organ.

W dwu słowach: jest to właśnie życie, to życie organiczne, którego najwyższy rozkwit na naszej małej kuli ziemskiej został uosobiony przez psychę ludzką organem jej — żywym mózgiem. Mózg i dusza, jak również życie i materja żywa wogóle, stanowią jedną i tę samą istotę, zgodnie z monistycznemi poglądami, o których na początku pracy naszej mówiliśmy i które wyłącznie zgadzają się z danemi nauk przyrodzonych i psychologji. Przejrzawszy całe życie zwierzęce lub roślinne na ziemi, orzec możemy, iż to, co dziś żyje jest prawie niezmienionem powtórzeniem tego, co żyło wczoraj. Formy umarłych powtarzają się w potomkach i łańcuch ten sięga nieprzerwanie aż do najstarszych pokoleń. By móc dotrzeć do tych przodków naszych, którzy się różnili od nas, musielibyśmy cofnąć się wstecz o setki tysięcy lat, a fantazja nasza jest w stanie stworzyć nam tylko bardzo mglisty wizerunek istoty psychicznej tych przodków. Gbybyśmy się ograniczyli tym tylko przeciągiem czasu, jaki nasz mały ludzki mózg objąć nam pozwala, bez zaprzeczenia prawdzie, możemy śmiało stwierdzić, że dość dokładnie, t. j. bez gruntownych zmian, przedłużamy i powtarzamy życie przodków naszych w prostej linji, i że w ten sposób w potomkach naszych znów i nadal żyć będziemy.

Pojęcie czasu jest względnem. Ci, którzy żyją intensywnie i których mózgi pracują dużo, o wiele więcej przeżywają w krótkim czasu okresie od tych, którzy bytowaniu swemu zacisznie i bogobojnie spłynąć pozwalają, pracując możliwie mało, jałowo i bezmyślnie i czas spędzając bezpożytecznie. Również względnem jest pojęcie przestrzeni. Pieszo przebytych sześćdziesiąt kilometrów stanowią liczbę poważną, taż sama przestrzeń przebyta rowerem jest średnią, koleją żelazną — śmiesznie małą, drutem telegraficznym — niczem prawie. Zwiększenie szybkości i rozgałęzienie dróg komunikacji ludzkich rozwija życie nasze w przestrzeni, niby encyklopedja wiedzy naszej, rozwijająca moc swą i wartość z dniem każdym.

(C. d. n.)

GUSTAW SCHMOLLER.

Siedmdziesięcioletni jubileusz! Cały świat uczonych akademików obchodzi tę uroczystość jednego z najświetniejszych swoich kolegów. Gustaw Schmoller ma za sobą 70 lat życia i 40 lat pracy naukowej, pracy która przyniosła mu wiele zaszczytów i wszechświatową sławę: Schmoller jest członkiem izby panów i profesorem, „Geheimratem“ i arbitrem spraw państwowych i gospodarczych — Schmollera cytują, na Schmollera powołują się wszyscy szanujący się uczeni.

Miał Schmoller młodość górną i chmurną: był ideologiem. Marzeniem jego było — socjalne królestwo Hohenzollernów. W tem była jego siła i nieudolność zarazem. Gdy Lassalle stwierdził, że wszyscy pisarze burżuazyjni dowiedli pracami swojemi istnienia spiżowego prawa płacy roboczej, spotkał się z powszechnym protestem liberalnych rzeczników kapitalizmu — jedynie uczciwy Schmoller przyznał mu słuszność. Wszakże jednocześnie twierdził on, że główną podwaliną tego prawa stanowią nie czynniki gospodarcze lecz psychologiczno-etyczne. Jest zasadnicza nuta, która brzmi we wszystkich dziełach Schmollera: uczciwa odraza do zblazowanego liberalizmu manchesterskiego i jednocześnie obawa przed ekonomją klasyczną i socjalizmem współczesnym — obawa, która nieustanie pchała go na szlaki ideologji burżuazyjnej lub na trzęsawiska państwowe, na których uganiał się za błędnemi ogniami „socjalnego królestwa Hehenzollernów“.

Jesteśmy wszyscy socjalistami — orzekł Schmoller. Wprawdzie socjalizm jego czerpał swe siły żywotne w pałacu królewskim — był to socjalizm szczególnego rodzaju, ale niemniej stał się Schmoller wielkim. I istotnie było dużo siły w jego młodzieńczym patosie skierowanym przeciwko gadulstwu liberalnemu, jeśli zważyć jak wszechwładnie panował monchesteryzm w prasie i literaturze burżuazyjnej. Obok Brentano stał się Schmoller duszą socjalizmu katedralnego i ogłosił świetną pracę w tej dziedzinie: „Historję drobnego przemysłu w Niemczech“.

„Królestwo socjalne Hohenzollernów“ rozwinęło się tymczasem w całej pełni. Państwo zdobyło prawa, których domagał się dlań socjalista państwowy Schmoller i korzystało z tych praw. Państwo zaprowadziło gospodarkę fiskalno-policyjną, która stała znacznie niżej od manchesterskiej, ale Schmoller witał ją jako zorzę poranną nowego lepszego życia. Z marzyciela królestwa socjalnego przedzierzgnął się on szybko w ideologa królestwa policyjnego. Wszystko co czyniło państwo w imię państwa uznał za dobre i szybko zarzucił swe zasady etyczne, stając się jednym z najgorliwszych szermierzy praw wyjątkowych.

Gdy później socjalne królestwo Hohenzollernów wziął w swe żelazne dłonie Bismark, znalazł on w Schmollerze teoretyka ideologa swych czynów. Schmoller był zwolennikiem wolnego zrywania umowy najmu przez robotników, a przecież, gdy wymagała tego polityka Bismarka, stwierdził pospiesznie, że zasada ta nie może być stosowana w całej rozciągłości, np. w czasie żniwa (chodziło o ograniczenie praw robotników rolnych). W imię zasad etycznych potępił Schmoller książeczkę robotniczą, pozostałość niewolnictwa warsztatowego, niemniej przecież głosił wraz z Bismarkiem konieczność utrzymania jej: „Gdy w życiu naszej ludności robotniczej wzmoże się zamęt, gdy zrywanie umowy i podobne złe objawy wzmogą się, gdy czynniki niepokoju znów wezmą górę, wówczas trzeba wrócić do książeczek“.

Dla dobra państwa gotów on był na wszystko i nie zawahał się jako członek izby panów głosować za prawem eksterminacyjnem dla Polaków. Dla dobra państwa pisał Schmoller szczególną historję. Nie fałszował jej wprawdzie, ale naklejał na nią odpowiednie etykiety, grzebał w archiwach przez długie lata, aby dowieść, że żyjemy w „socjalnem państwie Hohenzollernów“.

Wreszcie był Schmoller niezrównanym jako rektor uniwersytetu. Na akcie uroczystym wygłosił on mowę, w której zadał sobie pytanie, jak w tak błogosławionem państwie — liberalnem, sprawiedliwem, posiadającem uczciwe urzędnictwo, w państwie, które zadość czyni wielu potrzebom włościan i robotników, państwie, w którem nie ma ani cienia panowania burżuazji,—jak w takiem państwie może powstać i istnieć partja robotnicza, będąca politycznie i gospodarczo potęgą pierwszorzędną i działającą w kierunku republikańsko rewolucyjnym? Odpo-

wiedź Schmollera jest charakterystyczna. Nie jest to już odpowiedź fanatyka państwowego, ale bezczelnego pachołka: przyczyną istnienia i rozwoju partji robotniczej jest.. nienawiść dla Hohenzollernów na Renie, w Saksonji, w Niemczech południowych, a zwłaszcza wszeteczne doktryny.

Policyjna polityka posiada swego politycznego teoretyka. I trzebaż było na to 70 lat życia i 40 lat pracy! *Marjan Aleksandrowicz.*

E C H A.

PODPORY SPOŁECZEŃSTWA.

Powyższe wyrazy użyte przez Ibsena jako określenie tych luminarzy co — otoczeni ogólnym nimbem — mimo to, a raczej właśnie dlatego, dopuszczają się najzwyklejszych szantażów, zdobyły sobie u nas ze wszech miar zasłużone prawo obywatelstwa.

Wniosek ten potwierdza w zupełności cały szereg ujawniony ostatniemi czasy nadużyć grosza publicznego, bankructw, większych i mniejszych panam z aferą młocińską na czele.

Wszakże we wszystkich niemal tych sprawach występowali ludzie, powoływani z racji swoich stanowisk do piastowania godności społecznych i obywatelskich, tworzący tak zwaną opinję i w jej imieniu ferujący częstokroć wyroki.

Podpory społeczeństwa! Któż nie zna owych dygnitarzy najrozmaitszych instytucji, obnoszących z powagą swą godność po świecie. Ale ta godność i powaga — to tylko forma zewnętrzna. Treścią ich próchno i zgnilizna. I inaczej być nie może; wszakże jedyną racją istnienia tych ludzi, racją której poświęcili się wyłącznie, jest nadmierny apetyt... Dla zaspokojenia go operują niezawodnemi środkami: sprytem, bezczelnością, a gdzie trzeba i podłostką. Nie będąc zazwyczaj zdolnemi, są mimo to zdolni do wszystkiego.

Metodą ich działania: podwójna buchalterja, fałszywe bilanse, przekupstwo. Hamulcem — obawa prokuratora. I dlatego, jak nietoperze starają się przebywać w ciemnościach, nienawistnem okiem patrząc na tych, co ośmielają się mówić: do światła panowie, — do światła, ręce przy sobie... I dzięki tej metodzie zapewne, tak rzadko stosunkowo słyszymy o interwencji prokuratorji, warszawskie podpory społeczne spożywają owoce swej pracy, powołując do życia coraz to nowe przedsięwzięcia finansowe. „I nie raz — mówi Heine — bierze mnie ochota zedrzeć staremu kłamstwu maskę i z samego lwa zerwać aureolę, bo się pod nią skóry osła domyślam“.

Osła! oh toby tylko połową nieszczęścia było! Nasze podpory społeczeństwa pod lwią maską ukrywają coś więcej jeszcze: instynkty pospolitych łotrzyków i kryminalistów. *P.*

Z TEATRU.

»PIEKIELNICA«,. Dramat kawalerski w 3 aktach Henryka Tavote. (Teatr Mały).

Młody asesor p. Jan Blankenburg przechodząc razu pewnego koło stawu wyratował stamtąd samobójczynię, którą była śliczna Marja Ossipow. Stąd flirt i romans zakończony, rzecz oczywista, tragicznie.

Nieosobliwym jednak artystą okazał się p. Tavote. Dusza człowieka, jej zamglone tajemnice, głębie nieprzejrzane, tragiczne szamotanie się z losem niewiele go obchodzi. Stanowczo woli prawić oracje nad Pową i ronić sentymentalną łezkę rozczulenia gdy p. Schirke, nastawiwszy gramofon, podryguje z rozkoszą w takt pogodnego walczyka. Jakże bezgranicznie mierną, pozbawioną wszelkiego polotu, entuzjazmu szczytnych ideałów jest dusza autora „Piekielnicy“. Daje się to wyczuć z każdego słowa, z każdej sytuacji wyziera przygniatająca tandeta myśli i uczuć, bo żeby się zachwycać tak nie ciekawą osobistością jak p. asesor Blankenburg, trzeba solidaryzowaćsię ze wszystkiemi dogmatami mieszczańskiego życia, kochać kuchenne cnotki, zachwycać się widokiem babci robiącej pończochę na drucie, a żyć jedynie po to, aby umrzeć z pochwałą zwierzchnika.

Pan Tavote swoim dramatem kawalerskim (co za nieprzyjemne określenie) chciał dać przestrogę niedoświadczonym młodzieńcom, którzy dzięki swej młodości, często plączą się w tragicznych sytuacjach. Bezwątpienia, że pożycie z histeryczką nie może się zaliczać do przyjemności, śmiem jednak przypuszczać, iż żadna kobieta nie połączy życia swego z losem mężczyzny bez jakiegokolwiek, choćby problematycznego prawa. Bo jeżeli prawdą jest, że każdy mężczyzna w stosunku do kobiety tylko to czyni, na co mu ona pozwala, to nie za mniejszą prawdę trzeba uznać, iż żadna kobieta nie rzuci się mężczyźnie na szyję i nie ofiaruje mu swej miłości bez odpowiedniego z jego strony impulsu. A przecież Marja Ossipow, owa straszliwa piekielnica, kiedy całuje namiętnie, gorąco, prawie omdlewając z rozkoszy, nie wznieca najmniejszego podejrzenia, co do naturalności swych postępków. Widać szczery rozmach młodego życia, chęć kochania bez pamięci! Jest to piękne a psychologicznie zrozumiałe, gdyż Jan Blankenburg uratował jej życie, jest młodym, bardzo przystojnym. Taka dziewczyna jak Marja może kochać się w nim do niepamięci.

Aż tu nagle — trrrach! Jest histerja. W ostatnim akcie, od razu ni stąd ni zowąd pokazano nam prawdziwą piekielnicę, która potrafi w pół godziny wykraść rewolwer, chcieć wyskoczyć oknem, uciec, wrócić, a wreszcie zasztyletować swego kochanka.

Powie kto: „Histerja zwyciężyła!“ Ale która? Wszakże nikt jej w poprzednich aktach nie widział. Bo czyż to można uważać za objaw histerji, gdy młoda dziewczyna szuka śmierci, widząc swą matkę prowadzącą romans z jej narzeczonym? A może według pana Tavote objawem nienaturalności Marji jest niemożność słuchania głupich oracji p. Grollmanna, jego niedelikatnych docinków i przebywania bez zmarszczki na czole w towarzystwie zwolenników wysoce denerwującej quasi-artystycznej fonfaronady, pod którą jak u Grallmanna kryje się przykre prostactwo! Ależ nie! Stanowczo nie mamy prawa wierzyć dr. Martenowi, gdy ten w trzecim akcie zapewnia nas, że Marja była histeryczką w poprzednich. Nie możemy również wiedzieć jakiemi sposobami bronił się przed romansem z Marją p. Blankenburg gdyż zasłona drugiego aktu podnosi się podczas wyznawania wzajemnej miłości. Widzimy natomiast doskonale jak p. asesor w niczem nie ustępuje „histeryczce“. Na jej pocałunki odpowiada namiętnie uściskami i słowami przysięgi. W takich warunkach każda kobieta *ma prawo* szukać u tego mężczyzny opieki, kiedy się jej życie załamuje. Dlatego scena, w której p. Blankenburg, robi jej wyrzuty, iż opuściła nieznośną, szpiegującą ją na każdem kroku, panią von Enger i sprowadziła się do niego, wykazuje całą pospolitość jego mizernej duszy i stwarza coś w rodzaju oburzenia dla autora, który tak tuzinkowego człowieka stawia za wzór drugim.

Nie czuje się skrzydeł w tej sztuce. Widać natomiast uśmiechniętą z zadowoleniem twarz autora, mówiącego z giestem impresarja: „Patrzcie! tacy wszyscy

być powinni! A czy nie zazdrościcie nam przytem tej pachnącej kawy i gramofonu, który w każdej chwili może wam zagrać: *Das Vaterland muss grösser sein?*.. A jednak jedynym człowiekiem w tej melodramatycznej historji jest właśnie znienawidzona przez autora Marja. I ona ma naiwne śmiesznostki, ale bądź co bądź na dnie jej duszy coś się kołacze. Okropne zaś skandale, jakie w ostatnim akcie wyprawia, nie wypłynęły z przeegzaltowanej duszy, ale z pod pióra p. Tavote, który chciał coś dobrego zrobić — ale nie potrafił.

Sztuka jest za nużąca.

Zwłaszcza niezwykle rozmowny a głupi pan Grollmann, przygniata swoim wyszukanym stylem, który podobno ma być dowcipny!

Rolę tytułową odegrała p. Jarszewszka. Młoda artystka swoją rozumną, pełną wyrazu grą w akcie drugim i trzecim osłabiła niekorzystne wrażenie aktu pierwszego, gdzie chwilami wpadała w tony melodramatyczne. Na ogół jednak gra wypadła b. korzystnie. P. Adwentowicz, który przyjechał do Warszawy po to, aby nam pokażać wyższą sztukę, przebywa dotychczas (zwyjątkiem paru ról) w fazach repetuarowych. Grał Blankenburga tak, jak można grać najlepiej tę bezlicową postać. Z innych ról na wymienienie zasługuje przedewszystkiem doskonała w p. Schirke p. Czarnecka, oraz p. Orliński ratujący swym talentem antypatycznego Grollman i p. Kiernicki jako Deus machina dr. Marten.

Przekładu dokona p. J. Ostoja-Sulnicki.

Stefan Kiedrzyński.

ZJAZD ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH W NIEMCZECH.

(Dokończenie.)

Dla zobrazowania stanu organizacji zawodowej w Niemczech przytoczymy jeszcze kilka liczb zaczerpniętych ze sprawozdania Kom. Jen.

W Niemczech wychodzi ogółem 94 pism zawodowych, z tych: 1 — 3 razy w tygodniu, 1 — 2 razy 55 — 1 raz, 3 — 3 razy miesięcznie, 25 — 2 razy 9 — 1 raz. Pism politycznych, w których Kom Jeneralna pomieszcza wiadomości i sprawozdania— 43. Z tych 2 wychodzi 3 razy dziennie, 4 — dwa razy 35 — 1 raz dziennie i 2 tygodniki, (wszystkie pisma społeczno-demokratyczne).

Komisja Jen. wzamian za wydawany „Korrespondenzblatt“ otrzymuje od wszystkich biur statystycznych i urzędów całego świata wszelkie wydawnictwa statystyczne. Nadto zamienia się ze wszystkiemi pismami zawodowemi lub robotniczemi całego świata.

Interesującą jest następująca tablica ruchu korespondencji, od 1 Kwietnia 1905 do 31 maja 1908.

	Listów bez druków Przyszło	Wyszło
Biuro Kom. Jen.	10,794	33,533
Kasa	8,447	17,523
Sekretarjat robotnic . . .	562	1,179
Red. „Korespondenzblatt“ .	1,424	750
Eksp. „Korespondenzblatt“ .	2,180	77,523
Centr. sekretarjat robotn. .	15,528	24,846
Razem	38,935	155,355

Olbrzymia, mozolna, systematyczna i nieustanna praca przemawia z tych liczb.

Przechodząc do poszczególnych spraw będących przedmiotem obrad zjazdu, znajdujemy punkt, który dotyczył prac zawodowego sekretarjatu dla robotnic, zorganizowanego w maju r. 1905 przy Kom. Jen. Skorzystała z tej okazji Altmanówna, aby wystąpić nietylko przeciw wyodrębnieniu organizacji kobiecej, ale także przeciwko specjalnemu pismu dla robotnic. Wyodrębnienie płci w życiu społecznem stanowi środek ucisku płci żeńskiej. Zachowanie odrębnych organizacji przy nieustannym rozwoju ruchu kobiecego doprowadzić może do walki o władzę tych dwóch organizacji: żeńskiej i męzkiej i dodatnio na rozwój ruchu robotniczego w każdym razie nie wpłynie. W tym samym duchu przemawiali i inni przywódcy ruchu zawodowego. Wszakże znaczny przyrost kobiet w związkach od r. 1905 przemawia na korzyść tej nowozałożonej instytucji.

Gorętsze dyskusje wywołała sprawa wzajemnej konkurencji rozmaitych organizacji. Chodzi o to, że istnieją zawody poważniejsze mogące wejść w skład szerszych organizacji. Tak np. Modelarze mogą należeć zarówno do związku robotników przemysłu drzewnego, jak metalowego; kowale mogą należeć do związku metalowego, jak do specjalnego związku kowalów etc. Na tem tle powstają spory, gdyż związki większe i zasobniejsze czynią konkurencję związkom mniejszym i mniej zasobnym i tamują rozwój tych ostatnich. Kwestja ta w Anglji i Ameryce wywoływała wielokrotnie zacięte walki, w Niemczech stanęła ona w tak ostrej formie poraz pierwszy. Zjazd rozstrzygnął sprawę w tym sensie, że niektóre zawody odgraniczył, innym dał możność dowolnego wstępowania do kilku organizacji, wychodząc z założenia, że rozwój organizacji prowadzi koniec końców do ich skupienia, nie zaś do rozdrobnienia. W kwestji wychowania młodzieży referował. Schmidt, dowodząc, że wychowanie młodzieży, uwiadomienie jej co do interesów gospodarczych i politycznych stanowi pierwszorzędne zadanie organizacji robotniczych. Wszakże specjalnych organizacji dla młodzieży zakładać nie należy, chodzi tylko o to, aby organizacje ogólne gorliwiej zajęły się zdobyciem młodych ludzi. Szeregi organizacji stanowią najlepszą szkołę dla przyszłych obywateli i współtowarzyszy. Do kwestji tej dołączyła się mała dyskusja na temat antimilitarystycznej propagandy wśród młodzieży. Wszakże propaganda antimilitarystyczna nie znalazła poparcia wśród związkowców. Jedni, jak Schmidt zwalczali ją ze względu na niewspółmierność kar grożących młodym antimilitarystom i owocności ich pracy. Drudzy, jak Molkenbuhr, uważali iż nie należy odciągać antimilitaryzmem uwagi młodzieży od spraw podstawowych.

Bojkot, jako środek walki zawodowej częstokroć zawodził. Chodzi bowiem o to, że dla przeprowadzenia bojkotu nie wystarczy zgoda członków organizacji zawodowej, muszą tu wejść w grę zarówno członkowie innych organizacji, jak sympatycy, musi przyjąć czynny udział nietylko prasa zawodowa ale także polityczna. Tymczasem, jak wykazała walka wyborcza w Prusiech, bojkot należycie zorganizowany jest potężnym środkiem walki i organizacja zawodowa musi go opanować. Kongres zgodził się zupełnie z wywodami powyższemi, jako z koniecznością współdziałania z innemi organizacjami robotniczemi.

Ten ostatni punkt, mianowicie konieczność współdziałania i zespolenia się z innemi organizacjami klasy robotniczej stanowił na zjezdzie ostatnim ośrodek myśli ogółu. Duchowi Kongresu odpowiedział wszechstronnie opracowany referat Molkenbuhra „o rozwoju prawodawstwa społecznego“. Ze względu na ważne praktyczne (taktyczne) znaczenie tego referatu, podamy w streszczeniu końcowe rezolucje tegoż uchwalone przez zjazd.

„Rozwój techniki i kapitalizmu potęguje wydajność pracy. Celem wykorzystania owoców rozwoju, przedsiębiorcy łączą się w kartele, związki pracodawców i tem podobne zrzeszenia. Związki przedsiębiorców są potężnymi czynnikami władzy w życiu politycznem i gospodarczem, ponoszą zysk z kapitału, wzmagają wpływ polityczny kapitalistów.

W celu usunięcia istniejących nadużyć i zapobieżenia nowym, domaga się zjazd zawodowy dla wszystkich osób oddających za płacę dzienną lub pensję usługi fizyczne lub umysłowe — *jednolitego* prawodawstwa robotniczego, które uregulować ma stosunek robotnika przedsiębiorcy w ten sposób, aby robotnik był ochroniony przed przywilejami przedsiębiorców, aby obywatelskie prawa jego zostały zabezpieczone. Nadto domaga się zjazd wydania praw dla ochrony zdrowia robotników oraz urządzeń, które uchronią robotnika przed pauperyzmem o tyle, o ile jest to wogóle możliwem w ustroju kapitalistycznym.

W szczególności domaga się kongres:

I. Dla zabezpieczenia warunków prawnych:

1. Izb robotniczych.
2. Całkowitej wolności koalicji dla wszystkich pracujących bądź za płacę roboczą, bądź za pensję.
3. Obowiązkowości wszystkich praw robotniczych; aby nie mogły być pomijane zapomocą umów prywatnych.
4. Podstawy prawnej dla umowy zbiorowej (umów taryfowych).

II. Dla ochrony zdrowia i życia:

1. Ustalenia normalnego dnia roboczego, trwającego najwyżej 8 godzin.
2. Zakazu pracy zarobkowej dla dzieci poniżej lat 14.
3 Zakazu pracy nocnej z wyjątkiem wypadków, gdy praca ta jest konieczną bądź ze względów technicznych, bądź dla dobra publicznego.
4. Nieprzerwanego odpoczynku tygodniowego, trwającego conajmniej 36 godzin.
5. Gruntownej hygjeny przemysłowej.
6. Ochrony przed nieszczęśliwemi wypadkami przy udziale robotników w kontroli.

III. Dla ochrony przed pauperyzmem:

1. Ujednostajnienia i upowszechnienia ubezpieczenia przy samozarządzie ubezpieczonych.
2. Wynagrodzenia lub ubezpieczenia na taką sumę, aby chorzy, kalecy i nieudolni nie cierpieli nędzy.
3. Ubezpieczenia na czas połogu.
4. Ubezpieczenia od bezrobocia.
5. Opieki nad wdowami i sierotami.

Uchwały powyższe dowodzą niezbicie, że czasy, kiedy w związkach niemieckich mówiono o przeciwieństwie istniejącem pomiędzy działalnością zawodową a polityczne prawodawczą minęły bezpowrotnie. Istotnie, organizacja zawodowa, aby się rozwijać i działać owocnie, musi się wspierać na niemniej silnej organizacji politycznej, która w ciałach prawodawczych, będącemi w jej rozporządzeniu środkami usuwa przeszkody prawno-państwowe, napotykane przez organizację zawodową.

KRONIKA.

Pod Cekowem w gub. Kaliskiej dokonano zbrojnego napadu na pocztę.

Około g. 6 p. p. zbliżał się szosą od Malanowa ku Cekowowi furgon pocztowy, na którym, oprócz pocztarka, jechał konduktor i 2 żołnierzy. W ślad za nim pocztową bryczką jechało 4 żołnierzy, jako eskorta. Pomiędzy 7 a 6 wiorstą od Cekowa wybiegło 10 ludzi, ubranych, jak świadkowie zeznają, zamożnie, w kurtki i długie buty, i 2 z nich rzuciło 2 bomby pod bryczkę eskortującą wóz pocztowy. Skutki wybuchu były fatalne. Pocztyljona rozerwało na kawałki i żołnierza zabiło na miejscu, 2 zaś zostało rannych, z których jeden bardzo ciężko, czwarty zaś żołnierz, odstrzeliwując się, zdążył ukryć się w zbożu, skąd następnie pobiegł do Turka, aby zawiadomić władzę o napadzie. Równocześnie z rzuceniem bomb pod bryczkę z żołnierzami, wyskoczył z lasu drugi oddział, złożony z 10 ludzi, z których jeden rzucił bombę pod wóz pocztowy, jednakże na skutek strzałów żołnierzy i konduktora, zaprzestał pościgu. Furgon pocztowy dowieziono do Cekowa, skąd rano o g. 6 przybył do Kalisza. Furgonem tym wieziono 44,075 rb., które ocalały.

Z Cekowa naczelnik oddziału pocztowego wysłał natychmiast sztafetę do Kalisza, z Turku zaś, po otrzymaniu wiadomości, wyjechały na miejsce władze miejscowe i zabrały rannych żołnierzy do szpitala, z których jeden zaraz po przywiezieniu zmarł.

Po otrzymaniu wiadomości w Kaliszu, p. o. gubernatora wydał rozporządzenie, aby z okolic Kalisza, gdzie kwaterowało wojsko, wyruszyły na poszukiwania 4 szwadrony huzarów, z Konina zaś 5 oddziałów dragonów.

Wybuch miał straszne skutki. Pocztarek Chmielewski, ojciec 5 małoletnich dzieci, został poszarpany do tego stopnia na kawałki, że znaleziono na miejscu tylko 2 nogi i kawałek ręki; konie padły rownież na miejscu. W rowie około miejsca wybuchu znaleziono mapę z wyrysowanymi traktami pocztowemi gub. kaliskiej i z oznaczeniem czasu przejazdu poczt; kuferek, w którym znajdowały się wiktuały zakupione w Łodzi, ładunek dynamitowy, kapelusz słomiany, gazetę i t. d.

Władze gubernialne przedsięwzięły energiczne środki, w celu ujęcia przestępców. W sobotę wieczorem, t. j. w dniu zamachu, otoczono pierścieniem wojska prawie całą gubernję. Wojsko to zbliża się ku sobie, uniemożliwiając w ten sposób ucieczkę. Ponieważ przestępcy mogli byli znaleźć się poza pierścieniem jeszcze przed wyruszeniem wojska, dokonywane są rewizje i sprawdzanie legitymacji po wszystkich miastach i miasteczkach gubernji, oraz na stacjach pocztowych i kolejowych. Oprócz aresztowanych w Malanowie, zatrzymano kilka osób w Kaliszu, w pow. słupeckim i konińskim, na stacji Zduńska-Wola, w Sieradzu (8) i Błaszkach (5).

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

K. O. Artykuł przesłaliśmy do „Witezia". W Paryżu „Koło Polskie" rue Mons. le Prince, 4, udzieli żądanych informacji.

Redaktor i Wydawca *Piotr Wilamowski*. Druk E. Skowrońskiego, Nowy-Świat. 43.